Nr 2 Maj 1937 Rok I.

ZEW MŁODYCH

ORGAN SAMORZĄDÓW SZKÓŁ ŚREDNICH W WIELICZCE

ROCZNICA.



W naturze ludzkiej jest potrzeba wypowiadania uczuć przepełniających nasze serca. To też w tym miesiącu, który był dla nas zawsze najradośniejszym, a który stał się wskutek największej i najboleśniejszej straty, jaką Polska poniosła — najsmutniejszym, trzeba dać upust żalowi przepełniającemu serca wszystkich Polaków. Trzeba rzucić wzrokiem wstecz i ogarnąć wspomnieniami pracę, trud i życie Marszałka Józefa Piłsudskiego, rozpięte na kanwie historii Polski. Piłsudski odważył się wcielić w czyn ideę odrodzenia Polski, która pogardzana i potępiana, chroniła się w podziemiach konspiracji, klęskami znaczyła swą drogę, pozostawiając krwawe ślady po kazamatach więzień syberyjskich, lecz nie zginęła nigdy, podsycana i szerzona przez garstkę pogrobowców powstania styczniowego i tych co wierzyli w wolną Polskę, tak jak — On.

Rok 1914. Zagrały działa. — „Nie chciałem pozwolić — mówi Piłsudski — aby, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczem nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przytem brakło". Więc wyprowadził garstkę straceńców na arenę świata do wojny narodów i wywalczył wymodloną Polskę — niepodległą i żywą. Lecz praca Jego tu nie skończyła się, teraz zaczął nas uczyć, bo wiedział żeśmy słabi i niewyrobieni. Koroną twórczych prac nad budową państwa, była nowa konstytucja, na której w przededniu śmierci podpisał swe wielkie Imię. Nielitośna śmierć nie pozwoliła mu dalej pracować, uczyć i wychowywać. Zabrała nam tego, który całe swe życie złożył w ofierze ukochanej Polsce...

WACŁAW TOBIASZ

Idea żołnierska i idea pracy

W szeregach O. Z. N. ma się dokonać konsolidacja Narodu na zasadzie stopniowych przeobrażeń i na terenie narodowościowym i na terenie społeczno-gospodarczym.

Dzieło to dorażnie bardzo pożyteczne, a na dłuższą metę — przy założeniu wyciągnięcia odpowiednich konsekwencyj z przyjętego za „pion moralny" hasła obrony kraju — wiele obiecujące. To pierwszy etap tej ewolucji, którą powinna przejść Polska.

W jakim duchu mamy się wychować my, młode pokolenie polskie, do których w drugim etapie należeć będzie decyzja? Jakimi drogami będziemy kroczyć w imię tych samych ideałów ugruntowania i zabezpieczenia niepodległości, które przyświecają obecnym sternikom nawy państwowej? Jakie w kolei dziejów z hasła obrony kraju wyciągniemy konsekwencje?

I tu pójdziemy Piłsudskiego szlakiem: **walcząc, po żołnierza do świata pracy sięgnął, pracując — sięgał po materiał ludzki do armii.** Ta idea żołnierska i idea pracy, idea bezklasowego Narodu pracowników i żołnierzy **— oto drogowskaz!**

Za naszą sprawą ma Polska związać swoją przyszłość z tymi, którzy będą chcieli i będą mogli dać z siebie najwyższe wartości: krew i pracę. Zechce je dać autochton, zrośnięty odwiecznie z ziemią i zainteresowany tej ziemi losem; będzie je mógł dać ten, któremu pracę umożliwiono, by nie był bezużytecznym i na robotę wywrotową podatnym żywiołem, któremu pracę tę należycie wynagrodzono, by posiadł tężyznę fizyczną i duchową, jakiej wymaga funkcja jego, jako żołnierza.

Bez unarodowienia naszego życia społeczno-gospodarczego i bez jego nastawienia na użyteczność społeczną w miejsce rozwielmożnionej prywaty, bez zapewnienia egzystencji masom, wnoszącym te wartości w życie Narodu, nie urzeczywistnimy snu o potędze. **Czymże bowiem buduje się Państwo, jeżeli nie pracą, czym broni, jeżeli nie krwią?**

To też, jeżeli dziś mówi się o potrzebie konsolidacji młodego pokolenia równolegle z konsolidacją starszego, o konieczności przygotowania młodych do przejęcia spuścizny wychowawczej Wielkiego Marszałka, **nie wolno nam rozglądać sie za innym drogowskazem,** nie wolno nam oprzeć się na innych podstawach ideowych.

Gim. żeńskie

Na dzień matki

Matka — to słowo najdroższe na świecie, to symbol miłości i poświęcenia.

I dlatego nie ma na świecie człowieka, nawet najgorszego, któryby nie kochał swej Matki. Każdy musi czuć wdzięczność dla Niej, za wszystkie Jej trudy i poświęcenia, za nieprzespane noce i łzy; każdy zaciągnął wobec Niej dług, którego w ciągu całego życia nie będzie mógł spłacić.

Matka, to najlepsza ostoja w życiu, to na najlepszy przyjaciel, chociaż nie zawsze to pojmujemy.

Oto słowa, które wypowiedział Marszałek Józef Piłsudski, będący dla nas przykładem ogromnej miłości dla Swej Matki: „Gdy jestem w rozterce ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogie moim zamiarom, wtedy pytam się samego

„SWIATŁO" kl. VII gimn. męsk.

Wiosna na Kasprowym

Gdy u nas w dolinie zielenią się już drzewa — łąki i pola — i śnieżna zima należy już do dalekiej przeszłości, jakże odmiennie przedstawia się wówczas krajobraz górski.

Piękny słoneczny dzień zastaje mnie w Zakopanem. Biorę „dechy" na plecy i prosto z dworca „wio" po kawalersku na góralskiej furmance do Kuźnic . Ukazuje się nawet piękny gmach dworca kolejki linowej, wiodącej z Kuźnic na Kasprowy Wierch. Na dole wiosna w całej pełni; krokusy, śnieżyczki, pierwiosnki; Lecz ku pogodnemu niebu wznoszą cię, okryte śnieżną bielą, granitowe kolosy Tatr i uśmiechają się do mnie zachęcająco.

Odjazd! Wsiadam do małego wagoniku, zawieszonego na grubej stalowej linie. Ogarnia mię dziwne uczucie. Maleńka łupinka, zawieszona w przestworzach, wznosi się coraz wyżej, a pod nią, w odległości 450 m., zieleni się na białym tle smrekowy las. Przed nami rozciąga się przepiękna i potężna panorama Tatr a w tyle, spowita w szafirową mgłę, dolina Zakopanego.

Przejeżdżamy nad przepaścią. Aż strach bierze, gdy pomyśle, że wagonik może spaść i rozbić się na miazgę. Uspakaja mnie jednak gruba lina, po której szybuje nasza łupinka.

Za parę minut jesteśmy w dworcu kolejki na Kasprowym. Jest on bardzo nowocześnie urządzony i może tam przenocować na wysokości 2 tysiące m. np. m. około 60 turystów.

Wszędzie uwijają się narciarze opaleni na bronz wiosennym słońcem. Mienią się w oczach czerwone czapeczki, niebieskie i żółte szaliki, pięknie wyszywane norweskie pończochy i zgrabne tyrolskie kapelusiki, ozdobione różnobarwnymi piórkami. Wychodzę na terasę. Słońce praży nie do zniesienia, a z drugiej strony skrzą się i mienią w słońcu tysiącem barw, niczem brylanty, kryształki wiosennego śniegu.

Nad olbrzymami gór rozpościera się ładny błękit nieba, zlewając się z mleczną bielą śniegu. Teraz dopiero spostrzegam potęgę uroku naszych gór i nie dziwię się, że ich piękno zwabia licznych turystów z zagranicy. Tu i ówdzie słychać ludzi mówiących po niemiecku, francusku — ba, nawet flegmatyczni Anglicy rozkoszują się śniegiem i słońcem.

W kocioł Kasprowego zjeżdża teraz z szaloną szybkością grupa wytrawnych narciarzy. Zakurzyło tylko za nimi, w oczach nikną, a w końcu widać hen daleko tylko małe czarne punkciki. Nie zastanawiam się długo i podążam ich śladem. Pęd jest szalony, aż łzy stają w oczach. Jedna kristania! druga kristania! w lewo! w prawo. Tylko śniegiem zamiatam, aż wiatr szumi w uszach.

siebie, jakby Matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za Jej prawdopodobne zdanie, za Jej wolę, już nie oglądając się na nic". Gdyby te słowa były dewizą w życiu każdego człowieka, nie byłoby na świecie czynów złych i podłych. Marszałek Józef Piłsudski całe życie kochał swą Matkę i dlatego Serce Jego spoczywa przy prochach Matki.

Z tych samych powodów — dla zamanifestowania miłości i szacunku dla Matki wypływa urządzania „Dnia Matki".

W Polsce „Dzień Matki" jest wyznaczony w maju, w miesiącu poświęconym Matce Bożej. Starajmy się w tym dniu złożyć Matce jak najwięcej dowodów miłości, przywiązania i hołdu. Niech „Dzień Matki" będzie dla nas świętem nadzwyczajnym.

G. SŁOWIKÓWNA

Pamięci Karola Szymanowskiego

I znowu śmierć, ta nieubłagana i wielka tajemnica naszego bytu pokazała nam swą moc, wyrządzając polskiej muzyce straszną, niepowetowaną stratę. — Stratę tym większą, że niespodzianie przerwało się jedno wielkie życie u szczytu swego wspaniałego rozkwitu.

Oto zmarł największy polski kompozytor doby współczesnej — Karol Szymanowski, który na Zachodzie, zdala od Polski, całemu światu przypomniał, że kultura polska nie jest wcale niższą od kultury Zachodu.

Dziś, po Jego śmierci nazywa się Go najgenialniejszym polskim muzykiem po Szopenie, choć gdy żył, gdy tworzył, nie u wszystkich znajdował uznanie. Nie wszyscy rozumieli Go, nie wszyscy chcieli Go zrozumieć. Tak już jakoś dziwnie bywa na tym świecie, że trzeba aż śmierci, by oddać każdemu to, co mu się należy.

A przecież twórczość Szymanowskiego, to piękna karta historii muzykologii polskiej. To dowód na to, że motywy ludowe wprowadzone do muzyki symfonicznej nie muszą być z zasady czymś nudnym i niezrozumiałym. Szymanowski wykazał to doskonale w swych „Harnasiach" — pięknym poemacie o naszych górach i o legendarnym Janosiku. Barwa muzyki „Harnasiów" jest tak soczysta, jak same Tatry, tyle ma w sobie ich zapachu i czaru. Albo ciekawa, tak swoista Szymanowskiemu kompozycja tylu pieśni i preludiów, a dostojność „Stabat Mater", która potrafi przeniknąć duszę do głębi i wzruszyć, czyż te nie są dowodami wielkiego artysty.

Naprawdę Karol Szymanowski zasłużył na miano najgenialniejszego po Szopenie i na miejsce w grobach zasłużonych na Skałce. Zasłużył na to w zupełności, bo równie dobrze i gorliwie, jak Ci, pośród których spoczął, pracował dla kultury polskiej.

Pogrzeb miał wspaniały, ale skromny. Dostojny Kraków, ten Panteon polski, przyjął Go w swe mury dźwiękami srebrzystego hejnału. I gdy wieźli Go na wysokim rydwanie wśród łopotu czarnych chorągwi, przy dźwiękach szopenowskiego marsza, przypomniał mi się dziwnie piękny wiersz Norwida:

„Czemu cieniu odjeżdżasz, ręce złożywszy na pancerz
przy pochodniach co skrami grają około twych kolan..."

Czemu? Czemu taki człowiek musiał umrzeć?!

Zamknęły się za Nim podwoje klasztoru „Białych Ojców" — tam zostały Jego szczątki. — Ale Wielki Duch Jego Geniusza został tu z nami i będzie żył wśród nas, w tonach Jego nieśmiertelnej muzyki.

Wkońcu zatrzymałem się i spoglądam ku górze. Tam w oddali na wierzchołku, na samej grani, wznoszącego się przede mną stromego zbocza, widać małe jak pudełeczko — schronisko.

Znowu jacyś narciarze mkną po śnieżnej ścianie ku mnie, mijają mnie z zawrotną szybkością i giną zkolei w oddali.

Na Hali Gąsienicowej górale w malowniczych strojach, sprzedają kwaśne mleko, które świetnie smakuje zmęczonym narciarzom. Malutkie góraleczki sprzedają wiązanki krokusów, śnieżyczek i dzikich fiołków.

Czym niżej, tym mniej śniegu. Zieleni się trawka, kwitną bazie, a w powietrzu unosi się wiosenny, żywiczny zapach świerkowych lasów. Cofa się śnieg ku szczytom i znika, ale nie zginie. W czerwcu zobaczymy jeszcze w kotle Kasprowego, harcujących narciarzy, w rynnach i żlebach bielić się będzie wieczny śnieg-firn.

Kr. P.

Matadorzy z siódmej klasy

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że nigdzie nie brak metadorów. Ci bowiem zajmują pierwszorzędne stanowisko w małych miasteczkach, wioskach, ogółem wszędzie tak, że znaleźć ich można bez trudu i w klasach. No — ale jeżeli chodzi o nasze gimnazjum, to gdzie jak gdzie, ale w siódmej klasie nie tylko ich nie brakuje, ale jest ich nieco za dużo. Dlatego też, a może i dla tego, że sam takim matadorem nie jestem pragnę o tym coś niecoś napisać.

Pomiędzy matadorami jednak są tacy — jakby ich nazwać — supermatadorzy, którzy nawet wśród matadorów wyróżniają się. Do tych należy przede wszystkim Kolega, którego nazwę Y., poczciwy zresztą chłopczyna, o przeciętnym wyglądzie, który jednak pod wpływem przelicznych i przeróżnych zaszczytów, w postaci sekretarstw, a co więcej stanowiska w gazetce i jeszcze tam jakichś dostojeństw, stał się osobą bardzo ważną. Nigdy i nikt nie zastanie go próżnującego; to jako komisarz porządkowy wyrzuca młodszych Kolegów z klas, nie szczędząc im przeróżnych gróźb, to z całą pliką gazetek pod pachą zamęcza Kolegów, by zakupili to piękne pismo, i do tego wydawane przez młodzież, no jeszcze do tego, w którym umieścił coś kilkanaście swoich młodzieńczych utworów, wreszcie, ale zawsze na pauzie, a nie na godzinie, jak się to praktykuje, piszę na gwałt protokóły z zebrań, jako... sekretarz. To też nie byle jaka figura! Zajęcia nadmiar, ale i honor i zaszczyt równie wielki.

Drugim zkolei matadorem jest Kolega X., który jako prezes jednego z ważniejszych kół jest również osobą wielce dystyngowaną. To powiększa fakt, że do tego zakładu uczęszcza dopiero drugi rok; widział więc wiele i dlatego też pilnie i konsekwentnie

Z naszego życia

T. ORSZA

Rycerskiej Warny!

W łopocie sztandarów
rycerskiej Warny,
bladymi usty nietknąwszy nektaru
zwycięstwa...
krzyżowi wierny
polski królewic,
dał obraz męstwa.,,

a wśród krzywych szablic
wawrzynem rubinu
znaczyła sława
głowę cherubina
króla Władysława
— — — — — — — —
— — — — — — — —

W łopocie sztandarów
Waszych i naszych,
Maricy i Wisły daru-
niech biją nam serca
bułgarskiej krwi-laszej
niech biją zgodnie
jak dzwony,
jak rozpalone pochodnie
braterskiej obrony!

Na przywitanie

Największym urozmaiceniem Wieliczki — to oczywista goście. Ze wszystkich stron — z całego świata. Żółci, czarni, biali e. t. c. — cała symfonja dźwięków i barw. Jednych wita się mowami, drugich muzyką a innych — tańcami. Zobojętnieliśmy na to wszystko, już nas nie zdziwi żaden język, ani rasa — a jednak... Gdy człowiek zobaczy czasem kogoś specjalnie bliskiego i drogiego, to musi inaczej zareagować. Tak jest i teraz. Oto przyjeżdżają do nas rówieśnicy z pięknego kraju naszych serdecznych przyjaciół — Bułgarów. Nie trzeba pisać o nich i o ich Ojczyźnie, znamy ją z nauki geografii (a takby się chciało ją zwiedzić) ani o tych więzach historycznych, zapoczątkowanych od naszego bohaterskiego króla Warneńczyka. Tylko niespodzianką będzie dla czytelników wiadomość, że kilku uczniów tutejszego gimnazjum korespondowało z kolegami z Warny, z niemieckiego gimnazjum. Korespondencję tę zainicjowała p. prof. Spät, która będąc na wakacjach w Warnie, porozumiała się z dyrektorem tego zakładu. Sama włożyła w tę wymianę listów bardzo dużo swej pracy i poświęciła jej wiele swego cennego czasu. Pisaliśmy Bułgarom o naszej pięknej Polsce, o Tatrach, o morzu, Krakowie, no i oczywista o Wieliczce. Zapoznaliśmy ich z ludem zamieszkującym nasz kraj, z przyrodą, z zwyczajami, — posłaliśmy im nuty i tłumaczenie naszego hymnu narodowego, fotografie i widokówki. Pisaliśmy o naszych bohaterach, danych i nowych, o naszej rycerskiej i pięknej historii. Oni to samo i o tym samym. Wzruszyła nas i uradowała wiadomość, że koledzy nasi sami z własnej inicjatywy pracują nad założeniem parku koło pomnika króla Władysława Warneńczyka. — Oto nazwiska korespondujących kolegów:

Deutsche Schule Warna. Bulgarien. — Gimn. im. Jana Matejki w Wieliczce, Polska.

Georgi Klisursky — Gurak Adam,
Aris Papasian — Tiefenbrun Edward,
Georgi Lasarow — Momro Andrzej,
Iwan Gonuschew — Gazek Rudolf,

---

upomina tych lub owych kolegów, by tak lub inaczej nie robili, gdyż w tym lub owym gimnazjum, których nie wyliczyłby nawet na wszystkich(!) palcah swoich, postępuje się inaczej. Co więcej, mając już wieloletnią praktykę pragnie i nietylko pragnie, ale i jako prezes wprowadza różne urządzenia z innych gimnazjów, które tam się już przeżyły, a na szczęście w naszym jeszcze nie zobaczyły światła dziennego.

Ręka w rękę z kolegą X. postępuje ambasador jednej z okolicznych wsi, sołtys klasy siódmej, do tego prezes koła dramatycznego, wice-jakiegoś tam i t. d. jako sołtys umieszcza swój wielce szanowny podpis na wszystkich dokumentach, na jakich się tylko da, a jako prezes koła dramatycznego, dba, by, do koła dosiawali się osobnicy jaknajbardziej fotogeniczni, z dużym tupetem

Za tymi postępuje wice-sołtys naczelny, redaktor tejże gazetki, człowiek o wielkich walorach ducha no i ciała, o długim i giętkim języku którego — swada opanowuje nie tylko kolegów, ale także i Koleżanki. Wszędzie i nigdzie można go znaleźć, u niego inicjatywa rośnie, jak grzyby po deszczu, a elokwencją olśniewa i daje blask dużo większy od znanej powszechnie pasty „Skóroblask". Nie jest to tak dystyngowany, jak powyżsi no ale... matador...

W kolejnym porządku za tymi, a na czele całego gimnazjum kroczy generał batalionu szkolnego Z. Ten jest również wysoką, choć szczupłą figurą, z którą największe strapienie ma chyba jego Mamusia, gdy w przed dzień niedzieli, czyli w sobotę, pije pół kopy jaj, aby na zajutrz ogłuszyć kolegów donośną komendą i metalicznym głosem. Najpiękniejszą chwilą w jego życiu są raporty.

Dalszymi matadorami lub matadorkami są: hufcowy, który ze względu na swą tuszę i stąd wynikającą siłę winien nosić niezwykły, ale ciężki karabin maszynowy, członek wielce intymnego klubu romantyków, którego te niskie prądy życia nie interesują, wreszcie mistrz skoków wzwyż, przybysz ze Wschodu, morowy chłop, tylko o nieco długich nogach, no i w końcu triumfalny ten pochód zamyka nasz ukochany poeta, który swe bujne przeżycia i mgliste przygody, szczególnie z łaciny, uwiecznia naturalnie za podszeptem jednej z dziewięciu Muz.

Ktoby jednak myślał, że to już koniec, to myliłby się bardzo, gdyż jest jeszcze wielu, którzy noszą w sobie zarodki matadorstwa, co zaś do reszty, to zachodzi obawa, by pod wpływem tych supermatadorów nie przekształciła się najpierw w matadorów, a potem w tych większych i bym wkrótce nie potrzebował pisać o klasie matadorów gimnazjum wielickiego.

Iwan Jankow — Koziarowski Bolesław,
Boris Tscherpansky — Śmigielski Tadeusz,
Pentscho Jankow — Figlewski Witold.

Dowiedziałem się niedawno o jednym jeszcze węźle łączącym Wieliczkę z Bułgarami, a ściślej nasze gimnazjum — gdyż niejaki p. Wiktor Węglarz dawny uczeń tutejszego zakładu, znajduje się w stolicy Bułgarii na studiach, jako stypendysta polski.

Cieszymy się niezmiernie, bo może zobaczymy, którego z tych niewidzianych nigdy przyjaciół. Będziemy mogli się oglądać, poznać naprawdę i porozmawiać, a tematów interesujących nas mamy moc.

Przeto oczekujemy ich z niecierpliwością... aby ich przywitać, tak po polsku, prawdziwie — z całego serca.

Figlewski Witold

Z. LISZKA

Braciom Bułgarom

Hen, daleko — u Dunaju
Gdzie Bałkanów błyszczą szczyty,
Mieszka Bułgar, jakby w raju,
Kraj zaś jego w różach skryty.

Lud wesoły to, roboczy;
Wszędzie skrzętność, rozum, ład
Dziewoj uśmiech tu uroczy,
Ludziom bliźnim każdy rad.

Wy kochacie swą ziemicę
Ponad siły, ponad życie
Kraju swego więc granice
W świecie czynu rozszerzycie.

Tak, jak Wisła — rzek królowa,
Tak Bułgarii cud — Marica,
Całą przeszłość w sobie chowa
I szlak sławy W a m oświeca.

SOBCZAK FELIKS
Marszałek Sejmiku Sam. Szk.

„Frontem do gazetki"

Przed kilku dniami zwróciło się do mnie dwóch młodszych kolegów z zapytaniem, dlaczego w „Zewie Młodych" piszą sami koledzy z siódmej klasy? — Jest to fakt bardzo prosty. Nasza gazetka dopiero co wyłoniła się z nicości (ściślej: z głów niektórych kolegów). Materjału nie było. Przypuszczam, że nawet sławetny imć. Redaktor nie mógł zadość uczynić swej władzy redaktorskiej i wrzucić jakiegoś artykuliku romantyczno-migdałowego do tradycyjnego „koszyka redaktorskiego", bo go również nie było.

Chcąc jednak zapeczątkować naszą gazetkę, trzeba było pisać. Otóż znaleźli się koledzy którzy przeprosiwszy się ze swoim piórem, napisali pierwsze artykuły. Koledzy rozumieją, że zawsze ktoś musi rozpocząć; skoro zaś początek jest dany — wszyscy będziemy pisać.

Użyłem kilka razy wyrażenia „naszej gazetki"... ktoś z kolegów-pesymistów powie „ba, ładnie „nasza" w teorji, a w praktyce, to gazetka jest organem klas wyższych"... Proszę kolegów! Gdybyśmy tak chcieli myśleć, tobyśmy wyszli z zupełnie fałszywego założenia. Przede wszystkim „Zew Młodych" jest organem Samorządu Szkolnego, a my wszyscy (więc nie tylko wyższe klasy) należymy do niego. Jeżeli więc jesteśmy członkami Samorządu Szkolnego, to tym samym „Zew młodych" jest gazetką i naszą.

My więc wszyscy, tak; wszyscy koledzy z całego Gimnazjum,

Moje a b c archeologa

W poszukiwaniu tematu do jakiegoś aktualnego felietonu, zabawiłem się nagle i zupełnie niespodziewanie w archeologa — a czasami nawet i profesora lingwistyki. Nie znaczy to, abym czuł specjalnie zamiłowanie do języków, zwłaszcza do łaciny. Uważam nawet, że nie posiadam żadnych zdolności w tym kierunku, chociaż profesorzy zgodnym chórem wypowiadają twierdzenie wręcz odwrotne: że zdolny, że leń... itd. W każdym razie niezbitym faktem jest i pozostanie to, że na ostatniej wywiadówce miałem „lufę" z niemieckiego a napomnienie z łaciny.

Co zaś do archeologji, to proszę nie myśleć, że z łopatą i kilofem w ręce, przekopałem całe setki metrów kw. w poszukiwaniu za jakąś głupią kostką, którą także zupełnie śmiało można znaleźć i na cmentarzu.

Uzbroiłem się tylko w całkiem zwyczajny scyzoryk (taki szmuglowany ze Śląska Niemieckiego), kartkę papieru, pióro (tym razem już polskie) i zabrałem się do odczytywania napisów na ławkach w jednej z klas z wyższego gimnazjum. Który jednak oddział w ten sposób zoperowałem, ze zrozumiałych względów wyjawić nie mogę.

Niejednego zapewnie zdziwi obecność scyzoryka w tym całym obrządku przenoszenia na papier tych „najświętszych uczuć". Z ręką na sercu mogę wszystkim powiedzieć, że scyzorykiem tym nie miałem zamiaru zabijać autora tych napisów, a nawet i nie bardzo często rzeźb. Scyzorykiem tym musiałem sobie pomagać przy napisach starszych, bardziej zatartych.

Po przeszło półgodzinnej pracy, zebrałem bardzo obfity materjał w postaci czterech kartek, gęsto zapisanych najrozmaitszymi znakami. Część z nich odszyfrowałem i zrozumiałem głęboką treść zawartą pomiędzy poszczególnymi literami, a część z nich, niestety większą, owiewać będzie zawsze nimb tajemnicy.

Jedne napisy są wykonane starannie, czasami nawet z artystycznymi wykrętasami. O wiele częściej spotykałem napisy zupełnie proste, bez żadnych ozdób, a jeżeli teraz wziąć pod uwagę kaligrafję niektórych kolegów — to całość wypadnie nieszczególnie.

Najwięcej interesowały mnie napisy na ławce jednego z kolegów, którego największym marzeniem jest skupienie wszystkich stanowisk w swym ręku. Nie nazwę tego Kolegi jego szkolnym przezwiskiem, ale nazwę jego osobę zwiazłym znakiem, używanym bardzo często w algiebrze: będzie mu na imię Y. Otóż ten kolega Y. wyrysował na swojej ławce serce przebite strzałą (jak zwykle), a naokoło tego serca inicjały tych Koleżanek, które jak się to mówi, „trzymały go pod pantoflem". Jest to prawdo-

musimy ją podtrzymać (nie barkami, tylko piórem), mieć staranie o nią, pielęgnować jako nasze wspólne dobro, jako coś, co nam jest bardzo bliskim i miłym. Koledzy! niech wśród nas nie będzie takich, którzyby byli obojętni dla sprawy, a co gorsze, kalali „swoją własną recz".

Często w dzisiejszych czasach powtarza się hasła: „Frontem do... czegoś..." Niechże w naszym uczniowskim społeczeństwie hasłem będzie: „Frontem do gazetki"!

Mogliby mi niektórzy koledzy zarzucić, że urządzam polowanie „cum clamore" na artykuły dla redakcji. Proszę kolegów; tak to wygląda i... w rzeczywistości poniekąd tak jest — jednak motywuję to stanowisko tym że robię to dla naszego dobra. Istnienie bowiem gazetki, leży ściśle w naszym interesie. Na jej łamach możemy wypowiadać nasze myśli, zapatrywania, uczucia... Pisząc do niej, rozwijamy w sobie przede wszystkim uwagę cywilną i wyrabiamy nasze pióro, które kiedyś w przyszłym życiu obywatelskim będzie nam potrzebne. Wszak każdy z nas może zostać ministrem, a nawet prezydentem. Teraz więc, choć w szczupłych łamach, możemy już rozwijać nasze zdolności. — „Dobrze" — powie niejeden... „chiałbym pisać — ale o czym?" Kolego pisz o wszystkim, co cię tylko interesuje. Pisz o życiu w klasie, w szkole, a nawet poza szkołą; o wrażeniach z przeczytanych lektur, z przechadzek, wycieczek i t. d.

„Pisz!" dobrze się to mówi, a potem artykuł, w który tyle pracy włożyłem, pójdzie do... „bardzo sympatycznego" kosza.

Kochany kolego, mała rada, powiedz sobie: „gwiżdżę na to (tylko nie głośno, bo gwizdać, to ponoć niegrzecznie) — o ile redakcja nie umieści mi jednego artykułu, to musi umieścić drugi, który będzie już staranniej opracowany. Zobaczymy, kto zwycięży — redakcja — albo ja..."

Moja dalsza rada — bądź uparty i przede wszystkim pisz z humorem. Im więcej będzie beztroskiego uśmiechu w naszym życiu — tym więcej będzie nieba na ziemi.

Reasumując moje wywody — w imię koleżeńskiej solidarności — rzucam hasło:

„Dbaj o nasze wspólne dobro — **stańmy frontem do naszej gazetki!!!**"

Na drogę w świat



Maturzyści.



Maturzystki.

podobnie historja jego życia. Te Koleżanki, które obawiają się o to, czy przypadkiem nie znalazły się na tym, bądź co bądź oryginalnym skorowidzu zapewniam, że znalazłem w tym spisie rzeczy tylko dwa inicjały wywodzące swoje pochodzenie stąd, z Wieliczki. To serce i te inicjały, to był najciekawszy okaz, jaki w swojej wyprawie archeologicznej znalazłem.

Oprócz tego spotkałem jeszcze kilka również ciekawych eksponatów, choć już nie w tym stopniu oryginalnych, co pierwszy.

Koledzy zazwyczaj wpisują tylko jedno imię — umieszczając obok niego najrozmaitsze zaklęcia, na które jego Bogdanka raczyła odpowiedzieć, lecz tylko pustym śmiechem

Największą popularność zdobyły Zofje. Na dziewiętnaście ławek znalazłem „trzy „Zosie" i jedną „Zochę". Oprócz tego widziałem wiele inicjałów w których bardzo często powtarzała się litera „Z". Niema się czemu dziwić bo przecież wszystkie Zosie stanowią prawdopodobnie jedną dwudziestą część wszystkich imion kobiecych. Czy Zosie ucieszą się — czy oburzą po przeczytaniu mego felietonu, tego nie wiem. Ja chciałem, jak najlepiej, a przytym temat musiał zainteresować przede wszytkim Kolegów, stanowiących gross naszych czytelników.

Ponieważ za krótki czas Wasze imieniny, przyjmijcie już teraz najserdeczniejsze życzenia, wraz z gratulacjami związanymi ze zdobyciem pierwszego miejsca w wyścigu imion.

Niemal tradycją stało się już, że imieniny muszą być połączone z prywatną „tańcówką", przeto proszę Was nie zapomnijcie o Komitecie redakcyjnym. Na każde imieniny wystarczy zaprosić jednego sprawozdawcę z Redakcji. Wprawdzie przeważna część członków Komitetu ma u Was opinię nieszczególną, ale autor przyrzeka Wam, że zachowują się wobec dam zawsze fair.

„Siapek".

Byłem na „Ślubach"

Wielkie poruszenie, no i — zdziwienie, wywarła na wszystkich gimnazjalistach wiadomość, że III klasa gimn. żeńskiego dąży do wystawienia „Ślubów Panieńskich" Fredry. Usiłowania te, wznieciły dosyć „ognisty" zapał w sercach Kolegów, może nawet większy, niż u Koleżanek. Podczas gdy one pracowały, myśmy się także emocjonowali, lecz tylko słowami. Dyskusja jaką się na ten temat wywiązała, nie szczędziła Koleżankom już zgóry ostrych słów krytyki, skazując wszystko na całkowite niepowodzenie.

Może i mieli rację. Nauczeni bowiem doświadczeniem o-

Rok rocznie szare mury naszych zakładów są świadkiem pożegnania tych Koleżanek i Kolegów, którzy wychodzą w świat, jako ludzie dojrzali. Rozstają się z nami i z naszą „budą" z pieśnią na ustach „Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas..." A życie przerzuca ich w różne strony świata i do różnych ludzi. W tym roku Koleżanki i Koledzy żegna się Was nie tylko w murach, w których tyle chwil radosnych razem z nami przeżywaliście, lecz także na łamach naszego organu, który przecież jest naszym wspólnym dziełem.

Żegna Was Redakcja w imieniu tych wszystkich, którzy jeszcze na długo pozostaną w naszych zakładach, by potym znowu wyruszyć w tradycyjną wędrówkę życia. Dziś wyrażamy szczerą radość z tego, że doszliście do kresu Waszych studiów.

Życząc Wam powodzenia i prawdziwej studenckiej beztroski w dalszych kolejach życia o jedno Was prosimy. Nie zrywajcie z nami kontaktu. Najlepiej będzie go można utrzymać za pośrednictwem naszej Gazetki. Niechże więc „Zew Młodych" znajdzie się u każdego z Was czy na błękitnym Bałtyku, czy w dalekim Wilnie, czy wreszcie w bliskim Krakowie. Kontynuujcie dalej z nami współpracę tak, aby „Zew Młodych" stał się nie tylko reprezentantem uczuć i prądów nurtujących w naszym małym społeczeństwie, ale także w Waszym.

REDAKCJA

Krytyka i recenzja.

Na marginesie.

Pod naporem opinji studenckiej, zmuszone jesteśmy przyjąć rzuconą nam przez Kolegę rękawicę, nie dlatego nawet, aby zwyciężyć, ale aby uratować swój honor.

A więc pole wyznaczone — „Zew Młodych", a broń pióro. Jak to odrazu można poznać, że Koledzy są zwolennikami postępu, bo do niedawna żaden mężczyzna nie wyzwałby na pojedynek kobiety. Mocno żałujemy, że imć pan kolega „Siapek" ma w sobie tyle ironji, i znudzenia, bo jego artykuły mające tyle dowcipu, (jak gdyby nad każdym słowem myślał dwie doby) napewno będą bardzo lubiane.

Mimo szalonych wysiłków z naszej strony w żaden sposób nie mogłyśmy zrozumieć, dlaczego po przeczytaniu numeru ma nas „zalewać barszczyk z uszkami" i dlaczego mamy dostać „palpitacji serca". My przecież ani nie topimy się w błocie, wychodząc w dnie deszczowe tylko tyle, ile wymaga tego konieczna potrzeba, niebieskich kolorów także wcale nie uwielbiamy, ograniczając się do noszenia niebieskich sukienek. Nigdy także nie sądziłyśmy, że na Koledze tak wielkie wrażenie robi błoto. Boć przecież można się już było przyzwyczaić, spędzając większą część swego życia w tych właśnie osławionych błotach wielickich.

Ze zdziwieniem doszłyśmy do przekonania, że Kolega już w tak młodym wieku jest na tyle zniechęcony i znudzony życiem, aby musiał zrywać z teraźniejszością a nawet i z przeszłością. Bo, że teraźniejszość może nie zawsze jest miła i interesująca, ale sądzę, że przeszłość choćby nawet nie piękna i nie taka, jakiej byśmy sobie życzyli, pozostawia miłe i niezatarte wspomnienia.

Osławioną jest przenikliwość i intuicja kobieca. I jedno i drugie znalazło zastosowanie przy czytaniu „Dlaczego" — Mimo to jednak nie mogłyśmy zrozumieć tego „Siapusia". Co on chciał w tym felietonie

---

statnich przedstawień w żeńskiej budzie, mieliśmy podstawy do obaw. Tak naprzykład z greckiej tragedji, z Antygony zrobiono komedię, a komedia w wykonaniu Szanownych Koleżanek mogłaby się zupełnie śmiało przeobrazić w jakąś farsę czy rewię.

Jednak mimo uprzedzeń, całe wyższe gimnazjum zjawiło się niemal w komplecie. Nie brakło nawet przedstawicieli prasy, t. zn. naczelnego redaktora z nieodstępnym sekretarzem. Niepodobna przecież pominąć tak świetnej okazji, aby III-cią klasę, chlubę gimn. żeńsk. zobaczyć na scenie, oraz przypodobać się jej przez zakupienie biletu, a może i nawet programu.

Zawiedli niestety Koledzy z nowego typu, było ich zaledwie kilku. Zresztą niema się co dziwić. Przecież teraz się stosuje najrozmaitsze metody wychowania, które doprowadziły do tego, że ta młodsza generacja nie posiada zrozumienia dla tego co ładne i piękne, a przede wszystkim co zgrabne.

Ponieważ obecnie wypada przejść do sprawozdania z samego przedstawienia, zastrzegam się zgóry, że to nie jest żadna krytyka, tylko całkiem zwyczajny reportaż. Wszelkie bowiem próby pisania krytyki teatralnej są skwapliwie tłumione przez Szanowną Dyrekcję, grubą czerwoną krechą przez rękopis. Nie chcąc narazić się na żadne represje ze strony gromowładnych przełożonych, nie napisze żadnej krytyki do końca gimnazjum.

Seans, przedstawienie, czy może odsłonięcie kurtyny (nie wiem jak to nazwać), miał się rozpocząć o 4-tej. Ale jak to zawsze bywa wziąwszy pod uwagę punktualność babską, przyszedłem z 45-cio minutowym opóźnieniem. Zaciekawiony pytam jednego z kolegów na schodach: — Grają już?
— Ach! Jak się przerwa zaczęła o czwartej, to się może skończy za pół godziny.

Kompletnie zrezygnowany wchodzę na salę i w głębokim skupieniu przysłuchuje się dźwięcznym tonom, jakie jedna z Koleżanek wydobywa z tak zwanego fortepianu.

Cała widownia zachowuje się dosyć swobodnie, a granica pomiędzy stołkami gimnazjalistek, a miejscami stojącemi, coraz bardziej zaczyna się zacierać. Wszyscy są przygotowani na dalsze półgodzinne czekanie. Jedni klną, złoszczą się, wymyślają organizatorkom, inni znowu zadowoleni, że znaleźli się w tak bliskiej odległości od Koleżanek. Jednak niestety. Nadzieje niektórych zostały bezlitośnie zmiażdżone przez P. Dyrektorkę, która zamiast zająć miejsce przed samą sceną, gdzie był dla Niej specjalnie przygotowany fotel, usadowiła się na zatartej już granicy pomiędzy Koleżankami i Kolegami.

Całe szczęście, że za parę minut później, rozsunęła się kurtyna, bo może rozgoryczeni Koledzy zorganizowaliby jakąś

powiedzieć, co chciał wyrazić, tego nie wiemy. Mimo woli nasuwa się pytanie „dlaczego" wogóle Kolega zabrał się do pisania takich niezrozumiałych dla nas utworów, w których roi się aż od niedomówień. Kolega udowodnił, że nie na darmo chodził do szkoły powszechnej; — nauczył się przynajmniej stawiania kropek (zwykle trzech) pytajników i wykrzykników.

Jednemu ze swych kolegów radził, aby wogóle literaturą się nie zajmował, aby sprzedał swoje utwory trucicielowi szczurów. My — trzecia klasa — czując głęboki sentyment do Szanownego felietonisty radzimy mu z dobrego serca, niech zaprosi takiego pana — ale do siebie. To może bedzie lepszy pomysł, przynajmniej nam się tak wydaje.

Całkiem możliwe, że Kolega przy czytaniu tych uwag, zastosuje do siebie to, czem nas chciał uraczyć; wyleje na siebie cały talerz barszczu z uszkami, ale czy dostanie palpitacji serca, tego nie wiemy. Ostatnio słyszałam, że ma serce dość zdrowe — no i odporne na wszystkie zewnętrzne podniety. O ile mi wiadomo, tak było, ale obecnie jest zupełnie inaczej. Tak gdzieś od początku roku szkolnego, odporność ta w dziwny jakiś sposób znikła.

Jak się Kolega do naszego sądu przystosuje, tego nie wiemy, ale jesteśmy przygotowane na najgorsze.

Równocześnie jesteśmy pewne, że w następnym numerze ukaże sę obszerny artykuł „Siapka" ale ten będzie pisany bardzo jasnym stylem, a ręczę, że znajdzie wśród nas jeszcze większy entuzjazm, niż „Dlaczego"

Bonarkówna III kl

WŁ. BOGUCKI.

„Orka na ugorze" J. Wiktora.

Szarzyzna, która wycisnęła dość silnie piętno na współczesnej literaturze, spowodowała również to, że powieściopisarze coraz to częściej zwracają obecnie swoją uwagę tam, gdzie prostota i szarość występują w kolorach najjaskrawszych — na wieś.

Tym tłumaczymy tę wielką powódź nowych powieści dotyczących właśnie zagadnienia wsi polskiej.

Śmiałość głoszenia poglądów, interesująca treść i barwny język wysunęły na czoło tych wszystkich książek, jedną — „Orkę na ugorze", która to powieść zyskała w roku ubiegłym nagrodę literacką miasta Krakowa.

Akcja tej powieści rozgrywa się na wsi, „na zapadłej, nędznej wsi podhalańskiej. Wśród przepięknej przyrody żyją tu w zadymionych nędznych chatach ludzie udręczeni i biedni, szamocący się w okowach ciężkiej walki o byt we wzajemnych nienawiściach, sporach".

Okrutne i posępne jest życie wśród tych gór tak raz uroczych, a jakże często zasnutych mgłą, mgłą nędzy i upadku. „Okrutne ale nie beznadziejne. Bo oto wzrasta nowe pokolenie, które żyć już będzie w nowych warunkach, które przejdzie przez nową polską szkołę. Ludzie tej szkoły ciężką i twardą mają przed sobą orkę, prawdziwą orkę na ugorze, ale na swym posterunku trwają niezłomnie, łamiąc się nieraz z swą własną słabością i z uporem otoczenia".

Otóż na tym tle mrocznej i nędznej teraźniejszości, a lepszej przyszłości rozwija się akcja „Orki na ugorze". Ta pani ze szkoły i ten mały łobuz Alojzy, te dwie główne postacie stanowią w tej powieści, ten świetlany pomost, który łączy ciemną teraźniejszość z jaśniejszą przeszłością.

Stanowisko autora jako niezależnego pisarza, obserwującego bezstronnie załamywanie się dziejów bytu chłopskiego, a wzruszającego się każdą krzywdą lub

---

demonstrację, domagając się rewizji granic i przywrócenia „status quo" z przed kilku chwil. Sytuacja była naprawdę poważna, tymbardziej, że nie było żadnego objektu, na którym możnaby wyładować złość i energię. Rozsuwająca się kurtyna, kazała zapomnieć wszystkim o troskach doczesnych i skierować całą uwagę na scenę.

Wprawdzie nie była to scena, w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale jakieś podium, na którym ustawiono kanapę, stół, parę stolików, porozścielano kilka kilimków.

Koleżanki z miejsca oczarowały wszystkich swą grą; pokazały, że i one coś potrafią, że przecież III klasa, to nie znowu takie skończone fajtłapy.

Gucio z miejsca schwycił całą widownię za serce — zresztą może nie poraz pierwszy — bo Koleżanka kilkakrotnie występowała już na deskach scenicznych. Grała ona z taką swobodą, a spodnie no i zabójcza trzcinka w ręce, dawały znać, że przed nami stoi słynny lew salonowy.

Obydwie bohaterki „Ślubów", Klara i Aniela, wywarły także dodatnie wrażenie na widownię. Poraz pierwszy widziałem te dwie Koleżanki w butach na francuskich obcasach, i dziwię się jeszcze do tej chwili, że wówczas na scenie nie powykręcały sobie nóg. Śluby o dozgonnym panieństwie, składały z takim spokojem i z taką pewnością siebie, jak gdyby wymawiały:

— Proszę o szklankę wody sodowej!

Ciekawym, jakby się zachowały, gdyby w rzeczywistości miały coś podobnego uczynić. Zresztą czy odważyłyby się na to, i dotrwały w tym postanowieniu — nie wiem, ale zdaje mi się, że nie bardzo.

Ogólną wesołość wywarło ukazanie się p. Albina, ta chustka w ręce, ten ciągle osowiały i zapłakany wyraz twarzy zakochanego — został odtworzony istotnie dobrze.

Jeżeli wspominałem tutaj o tych wibitnych postaciach „Ślubów", to należy się przecież i trochę miejsca cichemu bohaterowi tej całej sztuki, suflerowi. Przez całą pierwszą odsłonę słyszałem jego głos, a nie mogłem wyśledzić miejsca pobytu. Dopiero kiedy akcja coraz bardziej interesowała widownię, a na sali robiło się coraz bardziej gorąco, zrozumiałem: sufler siedzi za piecem.

To też zupełnie jasnym stało się dla mnie to, że Koleżanki, zwłaszcza w ostatniej odsłonie, tak jakoś dziwnie grupowały się wokoło pieca. Przecież zimno im chyba nie było?!

Ogół Czytelników weźmie mi może za złe, że tak jednostronnie ujmuję całą komedję, że piszę tylko o tych zaletach

niedolą, oburzającego się na niesprawiedliwość czyni tę książkę nader interesującą lekturą. Z całej powieści, przesiąkniętej iście franciszkańską dobrocią wybija się piękna idea miłości bliźniego. „Ino tyle zostanie, co drugiemu dobrego zrobicie“. W tych słowach J. Wiktor zamyka główną myśl swojej książki. Każe nawet ludziom nietyle złym, ile ciemnym, nieoświeconym, opętanym żądzą, czy nawet nieświadomych życia społecznego — czynić dobre i szlachetne uczynki.

W związku z samą powieścią na pierwszy plan wybija się zagadnienie szkoły polskiej na tle stosunków wsi.

Dzisiejsze czasy to chwila przełomowa. Z jednej strony wyrasta młode pokolenie już w wolnej Odrodzonej Polsce, z drugiej żyje jeszcze stare, pamiętające czasy upadku narodu. Ten podział wpłynął także na stosunek ludzi do szkoły. Na wsi zdarza się często, że matka i córka albo ojciec i syn patrzą na te same mury wiejskiej szkoły z dwóch brzegów ponad przepaścią dzielących je lat. Mury szkoły zaborczej były bowiem oschłe, każące i odpychające. Dzisiaj te same mury „zakwitły barwami polskiej ziemi, pięknością jej drzew. Lekcje przemieniły się w kolor i radość“. Dlatego też dzieci tęsknią za tą radością za tą szkołą, która nietylko ich uczy — ale i też wychowuje. — Kochają tę nauczycielkę, która nie jest uosobieniem rygoru lecz przyjaźni. Jan Wiktor mimo, że szkołę uważa za źródło kultury i wszelakiego postępu, nie przeocza bynajmniej ujemnych stron praktyki dzisiejszej. Wystarczy przytoczyć fakt, że ta bohaterska nauczycielka z „Orki“, której nadmiar obowiązków rozsadzał dzień, została wkońcu zredukowana, mimo, że codziennie wracała do domu, wyzbyta z sił, by tu przy migającym świetle naftowej lampy, znowu oddać się pracy nad stosem zeszytów, nad zadrukowanymi kartami zarządzeń, planów i przeróżnych statystyk. Za co? Za to, że była źle widzianą u „góry“. Przepędzano ją od roboty do roboty, wysługiwano się nią bez wyrozumienia. Jedyną jej winą było, że „zawsze pierwsza przed innymi wybiegała naprzód. Burzy lud — wołał kierownik. A ona tylko w wolnych chwilach szła do chłopskich chat z książką, uczyła poczucia honoru, dźwignięcia się z pierwotnego stanu.“ Przysła reakcja, a z nią protest Jej słowa, wypowiedziane tam w kancelarji kierownika, to czysta prawda. Czyż bowiem teraz świat ma zaszczyty, pochwały, awanse dla sumiennych pracowników. Nie ma. Im kto głośniej krzyczy, ten bardziej zasłużony. Zapanował wszędzie krzyk obłudy, blagi i fałszu. Ten krzyk wylatuje z domu, biegnie ulicami, wdziera się do urzędów, towarzystw, szkół. Gdzieś powstają pomysły, które mają przebudować człowieka. Pomysły stają się okólnikami. Idą do szkół na wieś. I tu zostają wykoszlawiane, zmieniają się w przepisy bez treści, bez duszy. A przecież o życiu jednostki nie może decydować ilość szpargalików. Na cóż bowiem stworzona została idea, zapał i poświęcenie. Szkoła według autora „Wierzb nad Sekwaną“ musi być kuźnią charakterów, jej cechą — radość i prawda. Złe wychowanie w szkole, to największa krzywda dla dziecka, to krzywda dla narodu. Nauczycielstwu, które ma żywić dziecko zdrowym pokarmem, trzeba dać warunki, by ono nie było poniżone i podeptane, by te szare istoty zdzierające zdrowie w pracy nad dzieckiem w szkole, karmiły go radością i prawdą.

Niechże nie czynią tego ostatkiem sił. Niechaj ich twarze pokryje również blask i zadowolenie. W ten sposób wychowywana młodzież spełni to posłannictwo, które jej J. Wiktor określa „wy macie przebudować świat i dotychczasowy porządek rzeczy“.

Niemniej ciekawym zagadnieniem, związanym z „Orką“ jest chłop i jego przyszłość. Dwie sylwety chłopskie wybijają się z całej powieści. U jednego jest podniesiona do góry siekiera, u drugiego duch. U pierwszego dusza jest „zwichrzonym kłębowiskiem raz błysku dobra, raz zła, jest skryta za pazurami“. U drugiego inna. Z tego drugiego ma wyróść według J. Wiktora chłopski nowoczesny Judyn. Ten wyrobił „w sobie w ciągu swej drogi rozkaz drugiego nie skrzywdzić, siebie nie splamić i godności człowieka. W jego uśmiechu i spojrzeniu mieści się dusza — sama go prowadzi. Nic w nim niema, podstępnego i „nieufnego“. Z takich wyrośnie lepsza przyszłość, gdyż wie „że dzisiaj chłop żywi chlebem, ale przyjdzie czas, że pożywi nie samym chlebem, że będzie musiał, może Polskę przeorać chłopskim pługiem wdłuż i wszerz. W nim niema zwątpienia, słabości, Tylko czekanie na pracę i wiara w nią“. Tych co tak myślą, jest dużo na wsi, i swoim wpływem po-

---

przedstawienia, a o tych ujemnych momentach dyskretnie zamilczam; niestety, inaczej uczynić nie mogę!

Po pierwsze zapowiedziałem, że krytyki pisał nie będę, a po drugie nie mogę się narażać na gniew Koleżanek, tym bardziej, że z kilkoma mam już na pieńku, a krytyka pogorszyłaby tylko moje położenie.

Przytem boję się o własną skórę. Przecież trzcinka w rękach energicznego Gucia, może śmiało przeobrazić się w jakąś balaskę, która odgadując wlot myśli swej pani, poszukałaby bliższego kontaktu z moją głową. Nie jestem na tyle odważny aby narażać się na wojnę z całym żeńskim gimnazjum o jedną głupią krytykę. Zresztą, z babami dotychczas nikt nie wygrał — chyba jaka inna baba.

JANUSZ BYSTRY

Egzotyczni ludzie

Egzotyczny kraj, znaczy tyle co nieznany. Takim krajem są dla studentów wszystkie wpomniane w poprzednim felietonie p. t. Dlaczego dostępne, czy ta niedostępne twierdze. W każdym razie na początku musimy powiedzieć, że człowiekiem egzotycznym nazywamy tego, co zamieszkuje kraj nam bliżej nieokreślony (nieznany) albo pierwszą lepszą twierdzę na terenie naszego miasta. A że zdobycie twierdz ba nawet baszt jest niebywałą trudnością, dlatego tego rodzaju egzotyków spotykamy mało w naszym życiu uczniowskim. Częściej natrafiamy na takich, dla których Celion, Środkowa Afryka czy dziewicze lasy Ameryki, lepiej odpowiadałyby na rodzinne miasta, a spożywanie kokosów i manewry z wszelkiego rodzaju małpami po wybujałych palmach okazałoby się zajęciem o wiele więcej harmonizującym z wyglądem ich oryginalnych osób. Stąd też pochodzi zapewne ta spora liczba mieszkańców twierdz zbliżonych i przypominających swym wyglądem więcej Papuasów afrykańskich czy indyjskich Yoga-Fakirów, aniżeli studentów państw. zakładu.

Pochód różnobarwnych ras, otwiera jak zwykle przy takich uroczystościach włoski Dżigol-Letto bwiąc niedawno przejazdem w 8-mej klasie w celu wypróżnienia gimnazjalnego śmietnika z nadwyżki starych szmat, żelaza i flaszek.

Zdawałoby się, że ten na pozór najszczęśliwszy człowiek na świecie ma niemniej szczęśliwy wygląd. Tymczasem natura spłatała mu tutaj dobrego figla. Dla naszego bowiem Dżigol-Letta czarny kolor skóry i wyjazd na równikowe słońce okazałby się najzbawienniejszym środkiem do uszczęśliwienia tego tak miłego Kolegi.

zyskają innych, tak że wszyscy zrozumią, „że trzeba budować świat, w którymby człowiek zazębił się z człowiekiem w jedność sercem. Ludziom tylko trzeba dać chleba do ręki, rozumu do głowy, światła w oczy, miłości do serca. Trzeba tym chłopom pokazać świat, aby nie patrzyli tylko przez te brudne szyby na zagnojone podwórza".

I tutaj znowu pokłada J. Wiktor wiarę w młodym pokoleniu, które idzie budować taką Polskę, „któraby była radością wszystkich" i na tę drogę daje przestrogę", że gdyby miała wyrosnąć na krzywdzie i nędzy i ciemnocie, i taką miałaby pozostać, to nadchodzące pokolenie musiałoby zniweczyć ją rękami nędzarzy". Nauczycielstwo ma przygotować grunt do tego i dlatego znowu J. Wiktor zwraca uwagę na tę szkołę

„i tego nauczyciela, który będzie się długo krzątał w kieracie mozolnych godzin powszednich czynności, zamknięty w czterech ścianach wiejskiej szkółki; aby wypełnić swoje szare obowiązki, poczęte z miłości, podyktowane powołaniem. Jego cel jednaki, a wciąż czynny i twórczy — oddawać duszę w codziennych czynach dla drugich".

„Wesele Figara" Beaumarcheis'ego.

Chcąc dobrze zrozumieć głębie myśli i sens „Figara", trzeba znać dobrze przygody i koleje bujnego życia autora, gdyż właściwie (Figaro to sam Beaumarchais. Przeto odsyłam czytelników tej recenzji do felietonu Boya-Żeleńskiego w I. K. C. p. t. „Figaro i jego autor".

Sztuka ta jest doskonałym odzwierciedleniem życia Francji pod koniec wieku 18. Przewija się przed naszymi oczyma cały ówczesny dworski świat — świat zgnilizny, obłudy, kłamstwa i intryg. Hrabia d' Almaviva to typ wszystkich ówczesnych „błękitnokrwistych", który „zadał sobie trud, że się urodził, a resztą jest zupełnie pospolitym", jak mówi Figaro, a tymczasem on, który chce żyć i działać, tyle musi się napracować i przemyśleć wszystko, ile oni przez setki lat rządzenia. Jest to prawdziwy dworak, wszystko zrobi, wszędzie palce umacza, zobaczy białe a wmówi, że widział czarne, tu się zwierzy, a tam zdradzi. Jednak myliłby się ten, ktoby go po tym sądził. Figaro odsłania nam swą duszę w wspaniałym monologu w ostatnim akcie. Widzimy, że to człowiek szlachetny, prawy, którego tylko okoliczności zmusiły do wybrania drogi krętactw, bo drogą prawdy i cnoty za wąska i za długa, a „bijatyka tam i ścisk niemożliwy", zaś on chce żyć, a nie umierać z głodu. Nie możemy go za to obwiniać, gdyż Beaumarchais to przecież dziecko wieku. Życie jego jest pełne awanturniczych przygód i niespodzianek.

W całej akcji, w wielu powiedzeniach, a szczególnie w monologach Marceliny i Figara, czuje się chęć zareagowania przeciw złu, naprawienia tego wypaczonego życia, czuć powiew rodzącej się rewolucji. Tyle co do sztuki.

Co do gry wszystkich aktorów i każdego poszczególnie, to osiągnęli oni w pełni powodzenie. Szczególnie dobrze wypadły role Figara i Zuzanny w interpretacji p. Węgrzyna i miłej, a zawsze rozbawionej i roześmianej p. A. Matusiakówny, tak samo inne zresztą role z rolą hrabiny, zagraną z całym zrozumieniem i artyzmem, i charakterystyczną postacią sędziego Gąski na czele. Osobny, bodaj najważniejszy rozdział należy się reżyserji, dekoracjom, i kostiumerji. Zasługa to p. dyr. K. Fryeza. Dekoracje wspaniałe, taki przepych, bogactwo, a zarazem estetyka i subtelne wyczucie piękna, — to samo co do strojów. Widzieliśmy na scenie tę całą ówczesną, bogatą Francję. O reżyserji nie da się dużo powiedzieć — na najwyższym poziomie. Doskonale wyzyskane momenty grupowe, jak np. balet w I szym akcie i menuet ze wszystkimi aktorami na zakończenie, który zebrał burzę oklasków na widowni. Bezprzecznie **„Wesele Figara"**, to w tym roku dotychczas najlepiej wystawiona sztuka.

Witold Figlewski.

Nie wypada mi nie wpomnieć o jego sławetnym wspólniku, doktorze wszech-nauk tajemnych, jasnowidzu, chiromancie i psycho-grafologu, który bawiąc przez dłuższy czas u Fakirów nabył najdalej sięgających wiadomości z tej dziedziny, a nie chcąc próżnować, gdy jego towarzysz ma duży popyt, udziela zbawiennych rad we wszystkich sprawach miłosnych swych kolegów i handlowych naszych tandeciarzy. Jak wielkim cudotwórcą i sadykiem jest nasz jasnowidz, świadczy tak wielki fakt: kiedy wspomniany grafolog budzi się rano z zasłużonego spoczynku i wychodzi na pole, to proszę państwa wystarczy mu krótki moment, aby zaraz wiedzieć, czy niebo jest zachmurzone czy pogodne. Teraz naprzykład przepowiedział zgóry kto zda maturę, a kto skręci kark. Dlatego nie zwlekajcie, przyjdźcie, a dowiecie się, z kim możecie...

Szkoda, że ostatnimi czasy pochłonął go rozwijający się już od kilku lat w naszym gimnazjum prąd życia i umysłowości, zwany popularnie mechaizmem, co znaczy tyle, co umieć doskonale łacinę, a mimo to siedzieć na lekcji z zawiązaną szczęką. Obecnie po konferencji prąd ten szerzył się z szaloną szybkością i zyskiwał nawet zwolenników wśród młodszej generacji. Aby wschodni kierunek, nie stał się panującym w gimnazjum, zmuszony został jeden z najmorowszych kolegów dać początek więcej parlamentarnemu kierunkowi. Zasadą i wytyczną nowego kierunku jest jak najmniej uczyć się a jak najwięcej umieć. Środkiem pomocnym jest często wychodzenie z lekcyj łaciny. W ten sposób zkwapiało już kilkunastu naszych, a kwapienizm wcale nie okazuje się przeżytkiem.

Wkońcu przychodzi mi pomówić o największych oryginałach doby obecnej, którzy nie pochodzą bynajmniej z krajów egzotycznych lecz narodzili się z czasów zamierzchłych, tym samym wskrzesili na nowo epokę romantyzmu w Wieliczce. Otóż romantykiem jest każdy, kto bez wyraźnej potrzeby ot tak dla zabicia czasu — chodzi po błocie, nadwyręża przy tym nadmiernie struny głosowe, usiłując walczyć z Kiepurą. Ponieważ robią to, czego inni nie robią, zadziwiają świat i ludzi, sami zaś mniemają, że są stworzeni do celów wyższych, indywidualnie-romantycznych, a więc nawet do pasenia głupich gęsi na trawie czy do walczenia z wiatrakami.

Czyli każdy romantyk wielicki to taki nowoczesny Don Kichot. Ponieważ zaś romantycy wcale nie są niebezpieczni dla ogółu (z racji pobliskiego zakładu, bardzo zresztą pożytecznego), dlatego nie frasujemy się zbytnio o ich marne osoby.

Należałoby wspomnieć jeszcze o wielu, wielu egzotykach w naszym zakładzie, jednakowoż dajmy im spokój, a w następnym numerze zajmijmy lepiej się egzotyczkami i romantyczkami doby obecnej.

Listy do Redakcji.

Poznań, 13. IV. 1937 r.

Z radością czytaliśmy nadesłany nam numer organu wielickich szkół średnich, który ukazał się przy łaskawej współpracy Szanownego Pana Profesora. Radość to tym większa, że zawsze leżało nam na sercu dokonanie takiego dzieła.

Sądzimy że damy temu najlepszy wyraz przystępując, jeśli można do współudziału w jego redagowaniu. Utrzymywanie kontaktu z młodszymi kolegami uważamy ze względów zasadniczych za pożądane; doświadczenie uczy nas bowiem, że młodzież gimnazjalną należy przed wejściem w progi uniwersyteckie uodpornić na różnego rodzaju demagogję i doktrynerstwo. Choćby dlatego chętnie widzielibyśmy w danym piśmie m. in. także artykuły publicystyczne.

Uprzejmie prosimy o odpowiedź. W razie życzliwej — „próbki" (już przygotowane) oddamy do dyspozycji.

Przepraszamy za śmiałość, łączymy wyrazy głębokiego szacunku

Wacław Tobiasz Edward Widło
Władysław Duda.

Wilno 12. IV. 1937 r.

Nie małe było moje zdziwienie, a jeszcze większa radość gdy dziś otrzymałem pierwszy numer gazetki „Zew Młodych" wydawanej przez samorząd tego gimnazjum, do którego przez osiem lat uczęszczałem. — Kończąc naszą „budę" — rozstajemy się z pieśnią... „za rok za dwa, za chwilę razem nie będzie nas..." — a los rzuca nas w różne strony, nieraz bardzo daleko od swoich i od tej „budy" — w której tyle się chwil miłych przeżyło — tyle przeżyć nie do zapomnienia. — Myślą więc wraca się często do tych szarych murów, które wszystko wspólnie z nami przeżywały — biegnie się po klasach — dziedzińcu, szuka kolegów, którzy napewno jeszcze pamiętają wspólne przeżycia — różne — tak zwane w naszym języku szkolnym „grandy", a obecnie zbliżając się do kresu studjów gimnazjalnych opuszczają ten budynek z tą samą myślą o tych starych murach które tylu ludzi dojrzałych puściły w świat.

Nic też dziwnego, że ja tu tak daleko od tej naszej „budy" ucieszyłem się, że i tam w tym naszym Solnym Grodzie i samorząd kuje — realizując swój program, a praca ta jest owocną.

Życząc więc powodzenia
przesyłam nasze wielickie „Szczęść Boże",
z dalekiego Wilna

Wiesław Korpal
b. uczeń państw. gimn. w Wieliczce.

Z ŻYCIA NASZEGO MIASTA.

Prima - Aprilis.

Wielkie zainteresowanie, a tym większa ciekawość ogarnęła obywateli, ba nawet i obywatelki naszego miasta, kiedy na murach domu pojawiły się wielkie afisze głoszące szumnymi literami, że pierwszego kwietnia zjedzie do Wieliczki światowej sławy akrobata, człowiek mucha, szybkobiegacz i mistrz Czechosłowacji Romn Rudajak, który miał wystąpić z następującym programem:

1) Wspinanie się po gładkiej ścianie na dach gimnazjum.

2) Akrobacja na dachu.

3) Bieg po dachu z zawiązanymi oczyma i brawurowy skok z dachu bez liny.

W drugiej części wspomniany Rudajak miał być zakopany do ziemi na przeciąg pół godziny przez tutejszego grabarza, stan zdrowia po upływie tego czasu miała zbadać specjalna komisja, złożona z samych potęg medycyny.

Nic też dziwnego że ta niebywała okazja zobaczenia czegoś niezwykłego, a zarazem wielkiego poruszyła i zajęła całe miasto. Na 2 dni przed tajemniczym dniem górnicy idąc z kopalni mówili jeden do drugiego: „Franek, wis co jutro to se musimy wziąść wiecej chleba, bo nom sie nie opłaci iść ze szychty do domu i po tym z pewrotem wracać do miasta na tego człowieka — muchę".

I rzeczywiście w oznaczonym dniu rano przed szóstą, wiekszość górników ze wsi szła z dubeltowymi porcjami posiłku, a Zarząd Żupy Solnej musiał zamknąć urlopy. Wszyscy bowiem górnicy, którym szychta wypadła na popołudnie, zwrócili sie do sztygarów o zwolnienie z pracy. W końcu na podstawie kompromisu część dostała zbawienne ale bezpłatne urlopy.

Opowiadano mi, że nawet jeden z czołowych działaczy społecznych na terenie Wieliczki, człowiek z uniwersyteckim wykształceniem złożył dnia 30 kwietnia wizytę jednej z pań doktorowych. Ponieważ interes wymagał obecności męża, p. doktorowa prosi gościa na jutro (1 kwietnia) na godzinę czwartą. Wtedy, znany tak wszystkim pan, przeprasza panią doktorową mówiąc: „Proszę Pani. Niestety. Przyjść nie mogę. To bowiem co Wieliczka jutro będzie widzieć to się zdarza raz na sto lat".

Przyszedł wreszcie oznaczony dzień 1 kwietnia, a za nim tłumy publiczności na rynek. Harmonia przygrywała walce, polki, a błazen popisywał się słonymi kawałami. Punktualnie o godzinie 4-tej, kiedy natężenie doszło do punktu kulminacyjnego, przyszedł telegram do publiczności. Od kogo? Od najpopularniejszego dentysty z A—B. Jednym tchem przeczytał go przedstawiciel z urzędu: Pan W........ prosi Państwo, aby przyszli za rok na rynek o tej samej porze, a w ciągu tego roku naprawili zęby w firmie na A—B.

Deklaracje dzieci przyjęły salwą śmiechu, starsi z nieme złością. Gornik, który zwolnił się umyślnie, aby obejrzeć widowisko, zaklął siarczyście: „Psia krew, straciłem szychtę, aby tego pioruna zobaczyć. Niechże tego dentystę, szlag trafi.

Wielki społecznik i człowiek z uniwersyteckim wykształceniem uciekał z rynku najciemniejszymi uliczkami. Za nim nauczyciel, aptekarz i organista.: Ze wszystkich okien poznikały głowy:, rynek znowu był pogrążony w ciszy. Wszyscy się wstydzili...

B. W. Gimn. męskie.

Odrestaurowanie dzwonu św. Klemensa

Do jednych z najstarszych dzwonów, jakie znajdują się w tutejszej parafii należy dzwon św. Klemenca. Został on zawieszony w roku 1684, ale przy jakiej uroczystości nie wiadomo. Sam dzwon waży 2500 kg. Na jego wartość składa się nie tylko jego wiek, ale przede wszystkim niezwykle piękny i głęboki głos. Jednak niestety wskutek nieostrożnego obchodzenia się z nim uległ pęknięciu i od dwóch lat był zupełnie nieczynny. Dopiero ostatnio Komitet Parafialny z burmistrzem Jagielskim na czele, porozumiał się z przemyską odlewnią dzwonów: Felczyński i Ska, która przystąpiła do naprawy. Dzwon został spojony, otrzymał nowe jarzmo, osadzone na łożyskach kulkowych. koszta całej naprawy wyniosły 4.000 złotych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„Wiercipięta“. Zamieścimy w przyszłym roku.
St. T. VII. Zamieścimy w przyszłym numerze.
„Pierwsza laba“. Skorzystamy po przeróbce.
Wcinicki I. Skorzystamy.
Pawian. Wiersz słaby.
Ochoński P. Prosimy o lepsze. Nie ustawać!

W następnym numerze ciekawy artykuł: „Obywatelskie wychowanie młodzieży“.

Opiekunowie: p. prof. Korpal T., prof. Liszka P., prof. dr. Stamm E., prof. dr. Żywiec T.
Redaktor naczelny: Bogucki Władysław — Redaktor odpowiedzialny: Sobczak Feliks.
Komitet redakcyjny: kol. Czarnecka, Rozmusówna, Słowikówna, Stammówna, Widłówna — Figlewski, Jagielski, Liszka (sekretarz), Turek.
Redakcja urzęduje w Gimn. męsk. im J. Matejki w poniedziałki i czwartki od 5—6 pop.

Drukarnia Leopold Dudek i Ska Kraków, Stolarska 6.